Nr. 38. We Lwowie dnia 17. września 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

NÁPRSTKOWIE.

GARŚĆ WSPOMNIEŃ.

Wojta Náprstek nie żyje!

Wieść ta uderzyła gromem w każde prawe serce czeskie, wzruszając zarazem do głębi wszystkich, którzy mieli sposobność poznania osobistego tego niezwykłego człowieka. Wypadek sam byłby smutniejszym od wielu mu podobnych o tyle, że z nieboszczykiem wygasa ród zasłużony, którego nazwisko nie lśniło żadnym blaskiem przed 70 laty, ale nawet nie istniało*), — gdyby nie ta okoliczność, że imię rodu tego zapisało się głoski niezatartymi w pamięci narodu czeskiego. Już ten wzgląd wystarczyłby, by usprawiedliwić mą chęć zapoznania polskich czytelników z życiem trojga osób, którymi się chlubi szczep bratni. Lecz nie brak też względu innego, mianowicie tego, że ta matka i ci dwaj synowie, którzy poświęcili żywot swój wykonywaniu wielkich cnót: miłości bliźnich, wiedzy, sztuki i wolności, przedstawiają obraz nader dzisiaj rzadki wzorowej rodziny mieszczańskiej.

I.

Początki były bardzo niepozornymi.

Matka braci Náprstków, Anna, ujrzała światło dzienne w Pradze 1788 r. Rodzice jej żyli bardzo skromnie, straciwszy majątek wskutek wojen ówczesnych. Gdy więc ojciec osierocił wkrótce rodzinę, bieda zajrzała jej w oczy.

Nie istniało wtedy jeszcze dzieło Smilesa, o samopomocy, lecz rzecz sama od wieków spała w umysłach ludzkich, budząc się od czasu do czasu, by stwarzać wielkie duchy. I mała Anna, żądna wiedzy, wprowadziła w czyn myśl samopomocy. Za oświatę trzeba było wówczas płacić, a sierota nie miała z czego. Zgłosiła się zatem do kierownika szkoły, z gotowością usługiwania nauczycielowi i robienia porządków w izbie szkolnej, byle móc nauczyć się czytania, pisania i rachunków. Z temi też wiadomościami zasadniczemi przeszła następnie w służbę ciotki swej do młynów helmowskich, która nie przeszkodziła jej bynajmniej w dalszej pracy nad kształceniem umysłu i serca.

Przyszedł wreszcie czas, gdy dziewczę zaczyna myśleć o własnem gospodarstwie. Dziewiętnastoletnia Anna została panią Novákową, żoną kelnera znanej gospody »pod złotym aniołem«. Nie wniosła mężowi wiana żadnego prócz sukni ślubnej, kilku sznurków granatów czeskich i obrazka świętego, co pochłonęło jej oszczędności panieńskie — 70 zł. Ale w szczęśliwem pożyciu małżeńskiem znalazła zachętę do pracy wytrwałej, w której nie ustała nawet po śmierci męża (1819), gdy już posiadała własny browar.

Po 3 latach wdowieństwa oddała swą rękę 1823 r. Antoniemu Fingerhutowi, który zmienił później swe nazwisko niemieckie na czeskie pod jej wpływem. Po dalszych trzech latach widzimy już oboje z dwoma synami w browarze »u Halanków« na placu betlejemskim, pamiętnym wspomnieniami po mistrzu Janie Husie, którego kaplica tu się znajdowała, a mieszkanie pokazują podziśdzień. Lecz myliłby się, ktoby mniemał, że zbieranie grosza przeszło u zamożnej pary w manję bezcelową. Nie. Albowiem wprawdzie państwo Náprstkowie nie przestali gromadzić dostatków, choć uchodzili za miljonerów, wprawdzie nie zmienili skromnego ubioru mieszczańskiego na modny i świetny, ale też coraz więcej ubogich garnęło się do progów ich domu, gdzie zawsze doznawali pomocy i wsparcia.

Gdy wreszcie 1832 r. pani Anna owdowiała powtórnie, poświęciła się wyłącznie dzie-

*) Ojciec Wojty zwał się właściwie Fingerhut i przezwał się później dopiero Náprstkiem (Naparstkiem).

ciom swym i ubogim, co nie uszczupliło bynajmniej jej majątku, rosnącego z rokiem każdym. Odtąd widywano co piątku istną procesję żebraków przed bramą »u Halanków«, dochodzącą do poważnej liczby 2000 osób, a między nimi mnóstwo druciarzy słowackich, którymi się gospodyni domu opiekowała szczególniej, mając na względzie ich harde ubóstwo. I młodzież ucząca się zawdzięczała jej niejedno, zwłaszcza wycieczki poza mury stolicy. A jak delikatnie wykonywała uczynki tego iście chrystusowego miłosierdzia! Ile łez otarła, ile umysłów i serc zachowała od upadku, nieodłącznego niemal towarzysza nędzy — dowodem jej pogrzeb. Gdy bowiem »staruszka u Halanków« usnęła snem wiecznym 20. października 1873., wdzięczni rodacy złożyli na jej trumnie 200 wieńców, a orszak pogrzebowy nie miał końca. O gorącym zaś patrjotyzmie jej świadczy zapis 150.000 zł. na spełnienie myśli, ukochanej przez jej syna młodszego, t. j. na założenie czeskiego muzeum przemysłowego*).

II.

Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Pod okiem matki ukochanej wzrastali starszy Ferda (Ferdynand) i młodszy Wojta (Wojciech) w młodzieńców pełnych nadziei. Rozumna kobieta, pragnąc im dać to, czego jej brakło, tj. wykształcenie jak najlepsze, wyszukiwała im najlepsze wówczas zakłady naukowe, nie szczędząc kosztów. Toteż umysły chłopaków rozwinęły się szybko, zdradzając wcześnie skłonności, które miały pchnąć ich na odmienne drogi. Starszy mianowicie umiłował sztukę, młodszy wiedzę.

Gdy Wojta, zmuszony okolicznościami, umknął w r. 1848 przez Ocean do Stanów Zjednoczonych, gdzie po próbach utrzymania się ze stolarki i kamieniarstwa, założył księgarnię i dziennik *Wolne listy* w Milwaukee, Ferda pozostał przy matce i gromadził w swym domu przyjaciół muzyki, urządzał muzykalno-deklamacyjne wieczorki słowiańskie i t. p. Rozmiłowany w muzyce i poezji, wspominał zawsze z uwielbieniem naszego Adama, którego poznał osobiście.

Zajmował się też gorąco losami sceny czeskiej i rozwojem dramatu narodowego, a czując potrzebę popierania tej sceny przez jednostki, rozpisał konkursy na oryginalne sztuki czeskie.

Umierając (a umarł przed 6 laty), wyznaczył nawet sumę pokaźną na nagrody konkursowe za najlepsze utwory dramatyczne. Jak błogie owoce wydał i wydaje ten zapis, świadczy szereg sztuk, odznaczonych nagrodą Náprstka, zwłaszcza z lat ostatnich, gdzie ją otrzymały utwory takie, jak »Zapis« pióra notarjusza i wybitnego dramaturga dra Józefa Sztolby (1889), — »Drogi życia«*) pierwociny młodego, a już słynnego dziś autora »Rozkładu« i »Ataku kapitału« Franciszka Ksaw. Swobody, — wreszcie tragedja Juljusza Zeyera »Neklan« (1892).

III.

Przyjechawszy w czerwcu r. z. do »złotej« Pragi dla uzupełnienia swych studjów akademickich, a zarazem poznania życia czeskiego, nie mogłem nie udać się bezzwłocznie do najlepszego w tym ostatnim względzie informatora Polaków, Edwarda Jelinka.

Piątek był to właśnie. Miejsce działania — biuro statystyczne miejskie na małym rynku, gdzie nasz przyjaciel urzęduje. Przedstawiam się, wyłuszczam cel przybycia, plany i zamiary, on nawzajem swój poniekąd najbliższy plan: podróż do Kaszubów, do której »Słownik« Ramułta, świeżo wydany, i tocząca się oń polemika dały mu podnietę. Rozmowa czesko polska — bo pomienialiśmy się rolami, ja mówiłem po czesku, gospodarz po polsku — toczy się zrazu około piśmiennictwa o Kaszubach, następnie schodzi na ogólne pole słowiańszczyzny, zaczepiając od czasu do czasu o nowości takie, jak rzecz dra Zdziechowskiego o Masze (i niewczesne jego wycieczki przeciw Kollárowi), wreszcie pan Edward pyta:

— Nie byłeś pan jeszcze u Náprstków?

— Nie — odpowiadam.

— Aa, to wprowadzę tam pana.

Tu chwila namysłu, rzut oka na zegarek i gospodarz mój ciągnie dalej:

— Właśnie dziś mamy piątek, godzina dwunasta; jeśli nie masz pan nic pilnego, to możemy pójść tam.

Przystaję. Wychodzimy z biura, przebijamy się szeregiem ulic i uliczek na ulicę Ferdynanda, zbaczamy stąd w prawo na Persztyn i stajemy wreszcie na placu Betlejemskim. Po drodze daje mi pan Jelinek różne wskazówki o gospodarzach »u Halanków«, napomina, bym zdjął rękawiczki, których tam nie lubią; uprzedza, bym się nie dziwił niczemu, bo panuje tam swoboda amerykańska.

Tymczasem stajemy w bramie, z której przewodnik mój — a ja za nim — kieruje kroki swe do izby gospodnej na dole, gdzie poznaję panią Józefę Náprstkową, kobietę w starszym już wieku, w sukni popielatej i nieodstępnym fartuszku, o twarzy, okolonej włosem, gładko uczesanym, z której bije prostota niewyszukana i dobroć. Postać cała zdobywa sobie szacunek wstępnym bojem. Nie dziwcie się jednak, żem w obec tego nie ucałował podanej mi przez nią ręki, ale nie lubię tych cmokań i wiem już od

*) O Annie Náprstkowej pisał Edward Jelinek w »Bluszczu« i okolicznościowo w »Tygodniku ilustrowanym« 1891. Nr. 71.

*) Dramat ten, przełożony za zezwoleniem autora, spodziewam się uprzystępnić publiczności polskiej w druku, lub na scenie. (Przyp. Aut.).

mego mentora, że właścicielka jej nie lubi ich także. Po wymianie kilku zdań, śle nas gospodyni na piętro do męża, przyrzekając pójść wnet śladem naszym.

Wracamy w kierunku ku bramie na schody, które przylegały do ściany budynku piątrowego od strony podwórza, stanowiąc w przedłużeniu ganek, okraszony podobiznami, sztychami i napisami amerykańsko-czeskimi. Mijamy dwa pokoje zawalone książkami, fotografjami i tablicami, oraz pracujące w nich bibljotekarki nad stosem wachlarzyków japońskich i zatrzymujemy się dopiero w trzecim, różniącym się od poprzednich tem tylko, że stanowi zarazem salę gościnną, przed właścicielem i założycielem tego księgozbioru pięćdziesięcio-tysięcznego, oraz czeskiego muzeum przemysłowego.

Wojta Náprstek mężczyzna to otyły, sześćdziesięciokilkoletni (urodz. 1826), wzrostu prawie średniego, ubrany z angielska w długi surdut; na nosie mięsistym, kroju typowego czeskiego, i czerwonym, jak cała twarz jego właściciela, spoczywają okulary, z poza których padają na cię bystre spojrzenia, pełne jednak dziwnej łagodności, choć wulkan energji tli w tym człowieku. Wąsy i tak zw. kozia bródka także charakterystycznie czeskie, czoło wysokie, włosy białe, przerzedzone, a szczotkowate poniekąd i przystrzyżone nisko.

Dok. n. *Dr. Fr. Krczek.*

Z ZACHODNICH KRESÓW.

(Ciąg dalszy).

Ta bezmyślność i automatyczna niemal bierność przeciętnego Prusaka stanowią dla państwa ogromną siłę, zapewniają całej maszynerji państwowej wielką dokładność, precyzję ruchów i sprawiają że wykonanie ściśle każdego prawa, przedstawia się jako niezłomna, nieprzeparta, żelazna konieczność. Stanowią one zresztą o spoistości całego ciała państwowego, pozwalają kierować narodem w czasie wojny i pokoju z matematyczną konsekwencją i ścisłością.

Jeżeli takiej sile przeciwstawimy nieliczną gromadkę naszych braci z ich naturą bujną, ruchliwą, niestałą, niekonsekwentną, wychowanych w tradycjach legalnej anarchji, potomków owej szlachty zagrodowej, wojewodom równej, przywykłej do używania i nadużywania niczem nieskrępowanej swobody — nie zdziwimy się bynajmniej, że zwycięztwo nie po ich stronie.

Tryumfalny pochód germanizmu był tu na drodze pokojowej równie łatwy, jak na polu bitwy, tryumfy, odnoszone nad zdezorganizowaną armją francuzką, i jak wedle charakterystycznych słów Zoli generał Moltke wygrywał bitwy: *à coups d'algébre*, tak również, jakoby *à coups d'algebre* rząd pruski pokonywał nas na każdym kroku, wypierając kolejno ze wszystkich stanowisk. Na obronę naszą dodam, iż nie poddawaliśmy się bez oporu. Zrozumieliśmy dość wcześnie, iż potężnej organizacji państwowej pruskiej należy przeciwstawić ile możności również ścisłą własną narodową organizacją.

Postanowienie to dość dawno w czyn wcielać zaczęto i dziś może żadna z dzielnic dawnej Polski nie przewyższa zaboru pruskiego pod tym względem. Nie znaczy to bynajmniej, aby tam społeczeństwo nasze miało być zorganizowanem wzorowo; daleko mu pod tym względem do ideału; nie można się jednak temu dziwić, gdyż zadanie nasze z wielkiemi odbyło się trudnościami. Zanim zdołaliśmy go choć w części dokonać, znaczne na każdym polu ponieśliśmy straty i dopiero widoczne ślady gospodarki pruskiej, nawołały nas do ścisłego zespolenia sił w celu obrony sprawy narodowej — utrzymanie zaś karności, koniecznej w każdej zbiorowej akcji, nie łatwem było do osiągnięcia. Prusak każdy bez trudności nagina się do roli narzędzia, Polak jest raczej sam dla siebie celem, i dopiero zagrzany gorącą miłością ojczyzny i widmem grożącego jej niebezpieczeństwa pobudzony, zrzeka się swej swobody na rzecz ogólnego dobra. Karność taka, zresztą, nie znaczy tyle co jednomyślność, i nie można się dziwić, że choć wobec Niemców występujemy solidarnie, istnieją między nami pewne partje i stronnictwa. Jestto rzeczą nieuchronną i tylko bardzo niewytrawny umysł oburzać się oto może. Zdarza się nawet w chwilach wewnętrznych przełomów (jak obecnie), że solidarność owa się zachwiewa, jest to jednak objaw przemijający i wynika z tego, że ster narodowej sprawy zmienia kierowników. Wbrew więc wszelkim pesymistycznym sądom przypuszczamy, że nasz kresowy posterunek nie upadnie, lecz wzmocni się jeszcze, że agitacja antigermańska rozszerzać się nie przestanie i ogarnie nawet te stanowiska, które dotychczas za stracone już uważano.

Spotykając się z rodakami z pod innych zaborów, często zwalczać musieliśmy przekonanie,

że Polacy pod pruskim rządem germanizują się. Istotnie z prawdą się ono nie zgadza. Wyjąwszy całkiem niezwykłe wypadki wynarodowienia, trafiające się przecież nawet w wolnych społeczeństwach, zgermanizowanych Polaków spotkać bardzo trudno. Podobno niegdyś, zanim się publiczne życie narodowe rozwinęło w niektórych okolicach Prus Zachodnich, doszło było już do tego, że Polacy w rodzinie języka niemieckiego używali, lecz dość wcześnie jeszcze zbudzono się z tego narodowego letargu i też same rodziny stanęły później na czele akcji patrjotycznej w swej dzielnicy. Smutne to wspomnienie odnosi się zresztą do bardzo odległej epoki — dziś, gdy czujność na tym punkcie ogromnie się zaostrzyła, gdy opinja publiczna surowo karci nie tylko już odstępstwa, lecz wprost niedbalstwo i opieszałość w służbie narodowej, fakty takie zdarzyć się mogą chyba bardzo rzadko i zupełnie sporadycznie.

Niemcy z Polakami nie utrzymują żadnych towarzyskich stosunków, w polskich domach spotkać ich można jedynie jako w charakterze urzędowym lub w interesie przybyłych, stowarzyszenia mięszane nie istnieją wcale, a na wszelkich urzędowych zebraniach (komitetach drogowych, sejmikach powiatowych i t. p.) spotykamy zawsze dwie całkiem odrębne narodowe partje. Nawet w gimnazjach i szkołach Polacy i Niemcy trzymają się zawsze z daleka i mimo iż koleżeństwo mogłoby pewnego rodzaju asymilacyjny wpływ wywierać, stosunki uczniów polskich z niemieckimi opierają się jedynie na ceremonialnej nieco uprzejmości, o ile obie strony, dzięki starannemu wychowaniu, umieją wzajemnie uczucia swe narodowe szanować. Ile razy jednak którakolwiek z nich przełamie owe przyzwoite granice, wytwarzające między nimi możliwe *modus vivendi,* przychodzi do starć ostrych, w których Polacy z rycerskim animuszem godności swej bronią.

Tym sposobem dwa te narody, żyjąc obok siebie, zachowują jednak istnienie odrębne, a ich stosunki wzajemne są nieustanną walką, przerywaną chwilowem zawieszeniem broni. Najnowszy prąd, zainaugurowany przez p. Kościelskiego, a dążący do zawarcia stałego pokoju, nie stanowi zupełnie sprzeczności z tem, co wyżej powiedziano. Kierunek ten, popierany przez nieliczną partję, niesympatyczny ogółowi, tak zresztą jawnie dotychczasową swą bezowocność wykazał, że niezawodnie wkrótce do przeszłości należeć będzie i dawnego stanu rzeczy nie zmieni. Do tej kwestji zresztą powrócimy jeszcze.

Jeżeli powiedzieliśmy wyżej, że Polacy nie germanizują się pod pruskim rządem, odnosiło się to tylko do ludzi, nie zaś do krajów polskich. Wszelkie usiłowania, aby z Polaków Prusaków uczynić, choćby »Prusaków, mówiących po polsku«, okazały się dotychczas daremnemi, natomiast niepodobna zaprzeczyć, że kraje, pod zaborem pruskim pozostające, coraz bardziej niemieckiego nabierają charakteru. Dzieje się to zarówno na urzędowej, jak na prywatnej drodze, a obok germanizacji, przez rząd obmyślanej i kierowanej, równolegle dokonywa się inna, z samych warunków życia i charakteru obu narodów wynikająca. Ta ostatnia objawia się głównie na polu ekonomicznem i jest dla nas najstraszniejszą. Trwa ona zresztą już dawno, zasadza się na stopniowem wykupywaniu ziemi polskiej i stanowi czarną plamę w życiu naszych kresów zachodnich: jestto w oczach reszty narodu piętno hańby na naszem czole i stanowi w ogólnem gospodarstwie narodowem istotnie stratę niepowetowaną. Jeżeli jednak nasi bracia zakordonowi nie mylą się w ocenianiu donios-łości tego smutnego faktu, to jednak najczęściej mylą się w ocenianiu jego przyczyn. Wyobrażają sobie powszechnie, że skłania nas do sprzedawania ziemi chęć zysków, chciwość, gorączka spekulacyjna — uczucia, których, niestety, bynajmniej nie przyjęliśmy od Niemców — na których brak, nie na zbytek, raczej narzekać należy. Większość tych, co majątki sprzedali Niemcom, czy przed utworzeniem komisji kolonizacyjnej czy też potem, uczynili to z konieczności. Nie mam zamiaru ich uniewinniać, boć i konieczność tę wytworzyli oni sami, i jeżeli obdłużeni byli po uszy, jeśli stanowczo przy ziemi utrzymać się nie mogli, toć i to na ich chlubę nie przemawia. Jedni mieli do wyboru sprzedać wieś dobrowolnie, lub czekać, aż ją sprzedadzą wierzyciele, drudzy kapitałem, uzyskanym ze sprzedaży, oczyszczali resztę swych obdłużonych posiadłości, a nader nieliczne wyjątki stanowili ci, którzy na tej sprzedaży interesa robili; szczerze mówiąc, nie słyszeliśmy o żadnym.

W epoce, poprzedzającej utworzenie komisji kolonizacyjnej, właściciele ziemscy, ogólnie biorąc, byli zrujnowani, $^3/_4$ całej ziemi w Ks. Poznańskiem były na sprzedanie, a zaliczam w to zarówno niemiecką, jak polską własność ziemską.

Wiadomo każdemu, co sprawy te badał na miejscu, że Niemcy zazdrościli wprost Polakom szczęśliwej szansy, jaką im rząd stwarzał, dostarczając im kupców; wiadomo też, że większość ofiarowanych kolonizacji majątków, w pierwszej fazie jej działalności, stanowiły majątki niemieckie, kolonizacja jednak, wierna swej misji, tylko ziemię polską wykupywała. Książę Bismarck, stwarzając tę instytucję, uchwycił bardzo odpowiednią dla swych zamiarów chwilę, i właściwie pogorszył tylko dla nas stan rzeczy, który byłby się sam przez się wytworzył.

Grunt dla komisji przysposobiły warunki ekonomiczne, które w całych Niemczech wywołały wielki krach rolniczy. Po złotych dla produkcji rolnej czasach wysokich cen zboża, nastąpiły gorsze, a że nikt z rolników, za przykładem Faraona, patrząc na siedm tłustych krów o siedmiu chudych nie pamiętał, zła chwila za-

skoczyła wszystkich niespodzianie. Niemcy w owej świetnej epoce korzystali z łatwego kredytu aby swą działalność rozszerzyć, już to zakupując większe obszary ziemi, już czyniąc szalone na gospodarstwo nakłady. Polacy poniekąd naśladowali przykład Niemców, rzucali się w nieudane spekulacje, najczęściej jednak, kołysani błogą nadzieją, że »jakoś to będzie«, łatwy kredyt uważali jako bardzo dobry środek do uprzyjemniania sobie życia. Nastały złe czasy, ceny zboża spadły, wielkie dochody znikły a pozostały tylko długi i procenta do opłacania. W takiej chwili każdy rad pozbywał się ziemi i połączonych z nią ciężarów, rozumując słusznie, że lepiej ją porzucić, niż być z niej wyrzuconym. Tu jednakże między położeniem Polaków i Niemców wybitna zarysowuje się różnica. Na każdy niemiecki majątek znajduje się z łatwością niemiecki nabywca, majątki, przez Polaków porzucane, chyba cudownem zrządzeniem losu do rąk polskich się dostają.

Do Ks. Poznańskiego i Prus zachodnich napływa rok rocznie pewien kontyngens rolników niemieckich, znęconych tanioścą ziemi w porównaniu z jej ceną w Niemczech Zachodnich. Nie robią im bynajmniej konkurencji rolnicy Polacy z innych dzielnic Polski, gdyż dla nich ceny ziemi, istniejące na zachodnich kresach, są bardzo wygórowane, wolą więc okupywać się w okolicach tańszych, za kordonem.

C. d. n.

KANTATA

na otwarcie fakultetu medycznego.

(Autor Jan Kasprowicz).

Po ziemi tej, skąpanej w smutków rosie,
O płyń-że, płyń radości szumny głosie,
Złam echa swe o szczyty gór
I niech ci morza odpowie wtór!
Gdzie nasz jest łan, gdzie nasz jest lud,
Jak najdźwięczniejszy zabrzmij dzwon;
Nie był daremny ciężki trud,
Ale bogaty wydał plon.

Otwarte już świątyni nowej wrota,
Naokół z niej popłynie łaska złota,
Popłynie z niej kojący zdrój
Na ludzkie łzy, na ludzki bój:
Zdrój wiedzy! zdrój wiedzy, jak kryształ czysty,
[święty zdrój!

I nowy ztąd w koronie naszej ziemi
Zapłonie klejnot iskry królewskiemi:
Lśniąc nad szczytami naszych chat,
Cudownym ogniem zadziwi świat.
I dzielnych stąd rycerzy huf,
Szerzących plenne dobro w kół,
Z dumą obsiędzie szczytny ów
Baśnią owiany krągły stół.

Radośny hymn niech wzbija się do góry,
Jak słońca blask, co rwie brzemienne chmury.
Z radości wraz tej wiedzy cześć,
Co zbawia świat, pośpieszmy wznieść:
Cześć wiedzy! cześć wiedzy! tej świętej, czystej
[wiedzy cześć!

Na granicy świadomości.

(URYWEK).

(Dokończenie.)

»Dawno już nie pisałem do ciebie, a to dla tego, że męczymy się teraz wzajemnie swemi listami. Dowodzenia twe i prośby coraz bardziej tylko mię rozdrażniają. Im więcej starasz się mnie uspokoić i wyleczyć z »dziwacznej i chorobliwej manji, którą cię zadręczam« — tem energiczniej powstaje w duszy mej protest, że nie jest to żadna chorobliwa manja, lecz tylko całkiem zdrowy, całkiem usprawiedliwiony samosąd, całkiem naturalna męka sumienia, obciążonego świadomem czy może nieświadomem przestępstwem. Bo sam nie wiem dotąd, jakie ono było — świadome czy nieświadome? Być może zresztą, że jest to tylko całkiem zrozumiała litość i żal nad ofiarą mego ocalenia, nad ofiarą przezemnie zgubioną, chcący czy też niechcący? Sądzę, że każdy człowiek zdrowy, normalny i nie pozbawiony serca, na mojem miejscu musiałby doświadczać tego samego. Powiem ci coś, coby cię naprawdę zdziwić powinno (jedynie dla tego, że nie jesteś w mojej fatalnej pozycji — o, potem nazwiesz mię już zapewne ostatecznym warjatem, ale mniejsza z tem) — otóż wyznaję ci nareszcie, że chłopaka tego wprost opłakuję — opłakuję, jak kogoś ukochanego. — Mój Boże! gdyby on ocalał wraz ze mną, myślę, iż on porwałby mię w potok swego młodego życia, uniósłby mię w chyżym tym pędzie — i ja, bezbarwny i martwy, zaraziłbym się jego energją — i mógłbym istnieć dla niego. Mógłbym się nim zająć jako jedynym synem. Wydaje mi się nawet ciągle teraz, że odemnie by zależało, stworzyć mu świetną przyszłość, poprowadzić go drogą właściwą — i wówczas życie nie zawiodłoby jego młodzieńczych nadziei. A jam go zamiast

tego pogrążył na dno morza!... Ha, ha... w te ślady i mnie by pójść należało!«

*
* *

»A więc tak jest niewątpliwie i niezawodnie: jam to przeczuwał — »widziałem oczami duszy mojej«. Rozumiem teraz to wyrażenie poety. Tymczasem — według ciebie — jestem zapewne od dawna nieszczęsnym szaleńcem, i nic już dla mnie innego nie znajdujesz, jak tylko przyjazd swój najśpieszniejszy w celu zaopiekowania się chorym biedakiem i zawiezienia go pod zbawczą strzechę swego »domu«! Nie trudź się, przyjacielu. Jużbyś mię nie znalazł ani w Atenach, ani w Brandisi — do Londynu zaś już nie powrócę, bom tam naprózno szukał spokoju przez całych pięć miesięcy. List ten piszę do ciebie ze statku, który wynająłem w celu wędrówki do przypuszczalnego miejsca zatonięcia »Atheny«. Uspokój się — jeszczem nie zwarjował do takiego stopnia, żeby szukać tam »jego« ciała. W części interesuje mię miejsce wypadku, ale mam też prócz tego i cel inny. Wracam jednak do tego, że to, co widziałem oczami duszy — zobaczyłem teraz na jawie. Słuchaj.

Oddawna dręczyło mię już pragnienie palące dowiedzenia się czegoś o »nim«. Miałem nadzieję odnaleźć bez trudności wyratowanych majtków z »Atheny«. Przywykli do służby na statku ateńskim pasażerskim — musieli, zapewne, szukać podobnej posady na innym statku tej samej kategorji, w tych samych Atenach. Ponieważ zaś w porcie ateńskim pamięć o wypadku była jeszcze świeża, to poleciwszy sprawę paru faktorom i ogłosiwszy w pismach, znalazłem dwóch potrzebnych mi marynarzy. Pierwszy nic nie mógł mi powiedzieć: on całkiem nie spostrzegł nawet podobnego pasażera (było ich tam tak dużo!), a może go wprost zapomniał. Drugi zaś zauważył go dobrze i tak dalece zapamiętał, iż mógł mi o nim opowiedziec stosunkowo bardzo dużo..

Dowiedziałem się więc od niego, iż ów »wesoły, zabawny« chłopak był włochem — sierotą. Wiózł jakieś szczególne gatunki owoców do pewnego sklepu włoskiego w Atenach, jadąc tam jednocześnie na służbę do właściciela tej firmy z listem od syna jego, ogrodnika i handlarza owocami w Brandisi. Służył u tego ostatniego od lat już paru. Nie bardzo mu się podobało sprzedawać owoce w porcie i na spacerach, lecz trudno było o inne zajęcie. Opowiadał wszystkim, kto tylko chciał słuchać tej paplaniny (chłopak był »gadatliwy jak papuga«, według wyrażenia mego marynarza), iż nadewszystko lubił rysować i podróżować. Rysowałby i podróżował przez całe życie. Dużo się nagadał o sobie, ale majtek zapomniał już teraz o tych »głupstwach«.

— Lubił rysować? — zapytałem machinalnie sięgając po portmonetkę — i widząc, że nic już więcej nie wydobędę z namyślającego się greka. Dziwiło go interesowanie się moje nieznanym nieboszczykiem, lecz pomimo widocznej chęci służenia mi w tym względzie, nie miał nic do powiedzenia. Dobrze, iż zdobył się i na tyle.

— Tak, najwięcej o tem gadał... Nic bym nie mógł przypomnieć o nim, gdyby nie to, iż chłopak nie kładł się spać do północy (tak lubił patrzeć na morze i księżyc) i gdybym nie był wówczas na dyżurze. Przysiadł się do mnie i rozmawiał, aż nim »Athena« nie roztłukła się o te skały. Pan tylko i on jeden nie spali, oprócz nas, służby nocnej. A że dobrze się pamiętają chwile, poprzedzające jakąś biedę, to pamiętam, co mi on, nieborak, opowiadał o sobie. Prawda! jeszcze coś mogę panu dodać. Że też to zapomniałem, a pana tak wszystko zajmuje! W dzień jeszcze, snując się po pokładzie, śmiejąc się i dogadując, chwalił się nam wszystkim, iż kiedyś sprzedając na moście owoce, oparł się o słup i coś narysował na kawałku papieru do zawijania. Ktoś się zatrzymał by kupić pomarańcze, i gdy je zaczął zawijać, kupujący pan, młody i bogaty, wyrwał mu z rąk zarysowany papier i jął mu się przypatrywać. Rysunek tak mu się podobał, iż kazał chłopakowi przyjść do hotelu, w którym się zatrzymał i obiecał mu, iż może go zamieści do jakiejś blizkiej i dobrej szkoły malarstwa. Poszedł więc do niego o wyznaczonej godzinie, lecz trafił w złą chwilę dla siebie. Młody pan zstępował właśnie ze schodów w towarzystwie jakiejś pięknej i strojnej pani, rozpromieniony i wpatrzony w nią, jak w tęczę. Kiedy niemądry chłopak, pomimo to, zaszedł mu drogę wymachując zapewne kapeluszem i pokazując białe swe zęby — jak on to umiał — i przypomniał obietnicę, młody elegant odesłał go półgłosem do djabła i dał mu pojąć, iż on mu teraz nie w głowie. Nazajutrz zaś wyjechał z piękną panią do Wenecji. — Chłopak bazgrał coś nawet w notatnikach znajomych bliżej majtków.

— To może i wyście mu swój dawali? — spytałem z bijącem sercem.

— Doprawdy, nie pamiętam, czy mu też dawałem? Mógłbym to, zresztą, sprawdzić.

— Czy macie go przy sobie?

— Nie, chyba w domu — u żony gdzieś został.

Nie zważając na zwiększające się coraz bardziej zdziwienie greka, prosiłem go, by zajrzał do swego notatnika na wszelki wypadek. Poszedł więc do domu, i długo czekać musiałem, zanim powrócił. Wracając, z daleka już potrząsał czemś trymfująco. Serce mi biło coraz mocniej... Wyrwałem mu prawie z rąk zatłuszczoną, niezgrabną, sporą książczynę, skleconą widocznie przez samego właściciela z lada jakiego papieru. Kilka jej białych kartek było zarysowanych. Same typy, karykatury i szkice z nieszczęsnych pasażerów »Atheny«, nieźrównanie piękne, śmiałe i genjalne, wprost pochwycone szkice! Czasem zaledwie kilka linji, po-

ciągnięć szerokich ołówka — i w tem całe morze życia!

Nagle zadrżałem. Znalazłem siebie samego. Byłem tam uderzająco podobny. Może mię tylko wyidealizował, nadając więcej dystynkcji zmęczonym rysom i zwiędłej mej figurze i pochwyciwszy przypadkowo dość estetyczną pozę. Nadał mi też zapewne daleko więcej wyrazu — i dziwnie szlachetnego wyrazu w smutnych oczach... Czemuś nie zrobił ze mnie, jak z innych, karykatury, przeciwnie — dalekoś staranniej nawet opracował ten szkic przepyszny? Łzy mi spadały z oczu, kiedym się mu przyglądał. Jakże starannie portretował swego zabójcę, ten wielki mistrz niedoszły! — Pod szkicem, pod tym tylko szkicem — stało nazwisko jego. Zwał się Angelo Pierri.

Cóż powiesz na to? Wiem tylko, iż teraz dopiero rozumiem, naprawdę dla czegom cierpiał tak okrutnie: przyczyniłem się do zguby, nietylko człowieka, ale wielkiego człowieka, wielkiego w najdroższej mi dziedzinie — sztuki. Mógłbym w nim mieć perłę i chlubę swego życia, mogłem go zrobić tem, czem być był powinien.. i... i inaczej się stało. Widziałem to wszystko oczami duszy, a tyś mię miał za szaleńca.. Teraz, być może, osądzisz inaczej i wniesiesz coś nowego do swoich badań psychiatrycznych.

A teraz żegnaj mi, bracie i przyjacielu mój jedyny. Wybacz, ale inaczej nie mogę. Parę uśmiechów dziecięcych rozwieje twój krótki smutek po mnie. Oszalałbym naprawdę, żyjąc dłużej. List ten zostawiam na statku żaglowym »Marja« z prośbą, by ci go odesłano. Prawda! notatnik marynarza także ci mogę już zostawić. Związuję go wraz listem pod wspólnym adresem. Nieprawdaż, szkice przepyszne?«

* * *

W rubryce wypadków jednego z dzienników ateńskich w sierpniu 189.. roku mieściła się następująca wzmianka:

»W przeszłym tygodniu, nieznany cudzoziemiec, mówiący trochę po włosku i ledwie słów parę po grecku, wynajął w naszym porcie statek żaglowy »Marja«, opłaciwszy sowicie naprzód właściciela. Dopłynąwszy na drugi dzień ku wieczorowi do pewnego punktu długości i szerokości, starannie przezeń sprawdzanego, wstrzymał tam statek na czas jakiś — i w chwili, gdy nakazawszy powrót i zaprzątnąwszy tem szczupłą załogę, udał się, niby zapalić cygaro, na koniec statku — rzucił się nieznacznie w morze. W tłomoczku jego znaleziono list na imię profesora M. do Paryża, przywiązany krawatem do prostego zeszytu, oraz kartkę z paru słowami: »Rzuciłem się do morza dobrowolnie. W razie potrzeby upraszam zwrócić się do adresata zostawionego listu«. M.

Niepoczesny zeszycik zawiera kilka, jakby wyrwanych zkądeś kartek z niezwykle pięknemi szkicami tajemniczego samobójcy«.

Janina B. de C.

PRZED OBRAZEM.*)

Nie wiele brakowało do zupełnego wykończenia obrazu, któremu z miłością przypatrywał się jego twórca. Wstał on z pierwszym brzaskiem dnia, by wykończyć, i wystawić na widok publiczny swój utwór.

Obraz przedstawiał jeden z epizodów odsieczy wiedeńskiej. Wśród gwałtownej walki między husarją polską a oddziałem janczarów, na pierwszym planie starli się w śmiertelnych zapasach dwaj wodzowie. Koń z koniem, a człowiek z człowiekiem zwarli się tak, jak gdyby chcieli się zmiażdżyć. Ruch, wrzawa, zamęt w obrazie tym panowały niesłychane. Zdawało się, że w powietrzu czuć zapach prochu i krwi, słychać szczęk mieczów, huk armat i samopałów, jęki konających, okrzyki zwycięzców...

Twórca mógł być zadowolonym z dzieła; to też oglądał je z różnych stron, w rozmaitem oświetleniu i dumał... Czy przeniósł się myślą w czasy olbrzymie walk, czy w epokę upadku; podziwiał ojców, czy litował się nad zwyrodniałem, jak mówią, potomstwem?...

Wtem zbliżył się do zbroji, wiszących na ścianie i z pomiędzy rapirów wybrał największy.

— Ciekawym — pomyślał — czy potrafiłbym ciąć tak, jak oni?...

Sztaba stali, ujęta silną dłonią, świsnęła w powietrzu i zamigotała, jak błyskawica. Widać, nie była za ciężka dla tej ręki.

Nagle przestał i po chwili ruchem zniechęcenia zawiesił rapir na dawnem miejscu.

— I cóż mi potem, że to samo, co oni, zrobiłbym potrafił?...

Miecze zwycięzców z pod Wiednia nie zdały się ich potomkom...

Leopold Méyet.

---

*) Z cyklu szkiców, obrazków i nowel, które ukażą się wkrótce w obiegu księgarskim pod zbiorowym tytułem »Liście«. (Przyp. Redakcji).

Zasługi naukowe Helmholtza.

Imię Helmholtza stało się głośnem w 1847 r., kiedy wystąpił z rozprawą »O zachowaniu energji«; poprzednio już ogłosił był prace z zakresu anatomji i fizjologji nerwów, oraz badania nad przemianą materji. Wiadomo, że pierwszeństwo odkrycia wielkiej zasady, na której opierają się dziś wszystkie gałęzi nauk przyrodniczych, należy się heilbrońskiemu lekarzowi Robertowi Mayerowi, który w r. 1842, a następnie w r. 1845 obalił przestarzałe poglądy o cieple, jako materji osobnej. Rozprawki te jednak nieznane były wielu współczesnym przyrodnikom, tak, że Helmholtz doszedł był do odkrycia tejże samej zasady zupełnie samoistnie. Jego też zasługą jest wysnucie kosmograficznych wniosków z zasady zachowania energji, tej głównie, że kiedyś ustanie wszelka praca mechaniczna w obrębie naszego systemu planetarnego, wówczas mianowicie, skoro nastąpi równowaga ciepła we wszystkich warstwach.

Nie mniejszej doniosłości są badania Helmholtza na polu optyki i akustyki. Myśliciel ten nigdy drobnostkami się nie zajmował, wszędzie usiłował dotrzeć do praw najgłębszych, a wszechobejmujący umysł jego zastanawiał się zarówno nad czysto fizyczną, jak nad estetyczną stroną zjawisk, tak, że Helmholtz został nietylko jednym z fundatorów fizyki nowoczesnej, lecz też pionierem estetyki prawdziwie naukowej. Mimochodem jeno zastosowywał praktycznie swe odkrycia i czynił wynalazki, niezmiernego dla medycyny znaczenia.

I tak na polu optyki, badając nietylko istotę światła, ale i budowę oka ludzkiego, wynalazł używane dziś powszechnie zwierciadło oczne. Jakże smutnym musiał być stan okulistyki przed r. 1851, tj. zanim Helmholz ogłosił swój wynalazek! Nietylko, że nie można było zbadać wnętrza oka żywego, lecz nie miano nawet wyobrażenia o fizjologicznych i anatomicznych jego właściwościach, gdyż one, jak wiadomo, zaraz po śmierci znacznie się zmieniają.

Główne wyniki badań swych na polu optyki złożył Helmholtz w znanem dziele *Handbuch der physiologischen Optik*, które do dziś stanowi książkę klasyczną dla matematyków, fizyków, okulistów i malarzy. Podobnie na polu akustyki zawdzięczamy mu objaśnienie zasadniczych zjawisk muzycznych. Rozwiązał on zagadkę różnicy dźwięków instrumentalnych, wykazując, że dźwięki nie są proste, jednolite lecz złożone z fal różnorodnie uformowanych, grupujących się około tonu głównego.

Jak w dziedzinie optyki wyjaśnił był budowę i funkcje wewnętrznych części oka, tak na polu akustyki wystąpił z badaniami słuchu, zwłaszcza zaś organu Cortiego, będącego niejako miniaturowym fortepianem.

W tem jednak objawia się filozoficzny charakter Helmholtza, że nie poprzestał on na wyjaśnieniu wrażeń zmysłowych, lecz kusił się też o zbadanie, w jaki sposób z wrażeń tych powstają spostrzeżenia, fakty świadomości. Znalazłszy się tu u kresu badań fizycznych, wrócić musiał do filozofji, której pierwsze zawdzięczał pobudki. Helmholtz opiera się na nauce Kanta, którą jednak w niektórych względach zreformował. Twierdzi z Kantem, że nie spostrzegamy przedmiotów jako takich, jeno wrażenia, wywoływane w zmysłach naszych przez przedmioty, które same w sobie są nieznane. Powstawanie spostrzeżeń zawdzięczamy jedynie czynności rozumu. I tak, łączenie dwóch obrazów, powstających w obu oczach naszych, w jedno wyobrażenie, tłomaczy Helmholz jako kombinację obu, opartą na doświadczeniu. Każde spostrzeżenie i każdy pogląd opiera się na doświadczeniu i czynności rozumu. Podobnie pojęcia czasu i przestrzeni, które Helmholtz wraz z Kantem uważa nie za stosunki realne, lecz za formy naszego pojmowania świata, powstają zwolna w umyśle naszym drogą doświadczenia.

O rozwiązanie najwyższych zagadnień filozoficznych nigdy się nie kusił. Najwyższym celem jego było zbadanie zjawisk i stwierdzenie ich praw.

Przegląd pism.

»Żytie i Słowo«. Czasopismo poświęcone literaturze, historji folklorystyce. — Zeszyt V. — Lwow 1894.

Zeszyt niniejszy tego pięknego wydawnictwa zawiera oprócz ciągu dalszego prac, rozpoczętych dawniej (»Edyp Król« Sofoklesa, »Dążności literackie rusinów galicyjskich«, »Filary społeczeństwa« I. Franki, »Dawne karty swobód« M. Dragomanowa, »W Muzeum Rumiancowskiem w Moskwie« A. Krymskiego, »Buda i budyzm« L. Féera, »Pieśń o Rolandzie« w przekładzie B. Szczurata), bardzo cenny zbiór legend ruskich w których znajdujemy oddźwięki charakterystycznych poglądów i pojęć różnych sekt chrześcijańskich. Pomiędzy »wirszami«, podanymi przez M. Dragomanowa, znajdujemy jeden o powstaniu w r 1863, ułożony na Ukrainie. Dział »Z dawnych rękopisów« zajmuje tekst »Wędrówki Bogarodzicy po piekle«, a na dział krytyki składa się sprawozdanie z prac folklorystycznych Cz. Zibrta oraz zbiorku poezji P. Kulisza »Dzwin«.

»Żytie i Słowo« pomimo znacznego niedoboru finansowego będzie wychodziło i w roku przyszłym.

L. W.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.